



WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ
Z „NOWINAMI
RZESZOWSKIMI”
Nr 22 (192)
Rok V
6 VI 1965 r.

Osiem dni miasta

Są te dni po to, by zaprezentować urodę miasta, pokazać, co w nim najciekawsze, zmobilizować mieszkańców do zabawy i radości.

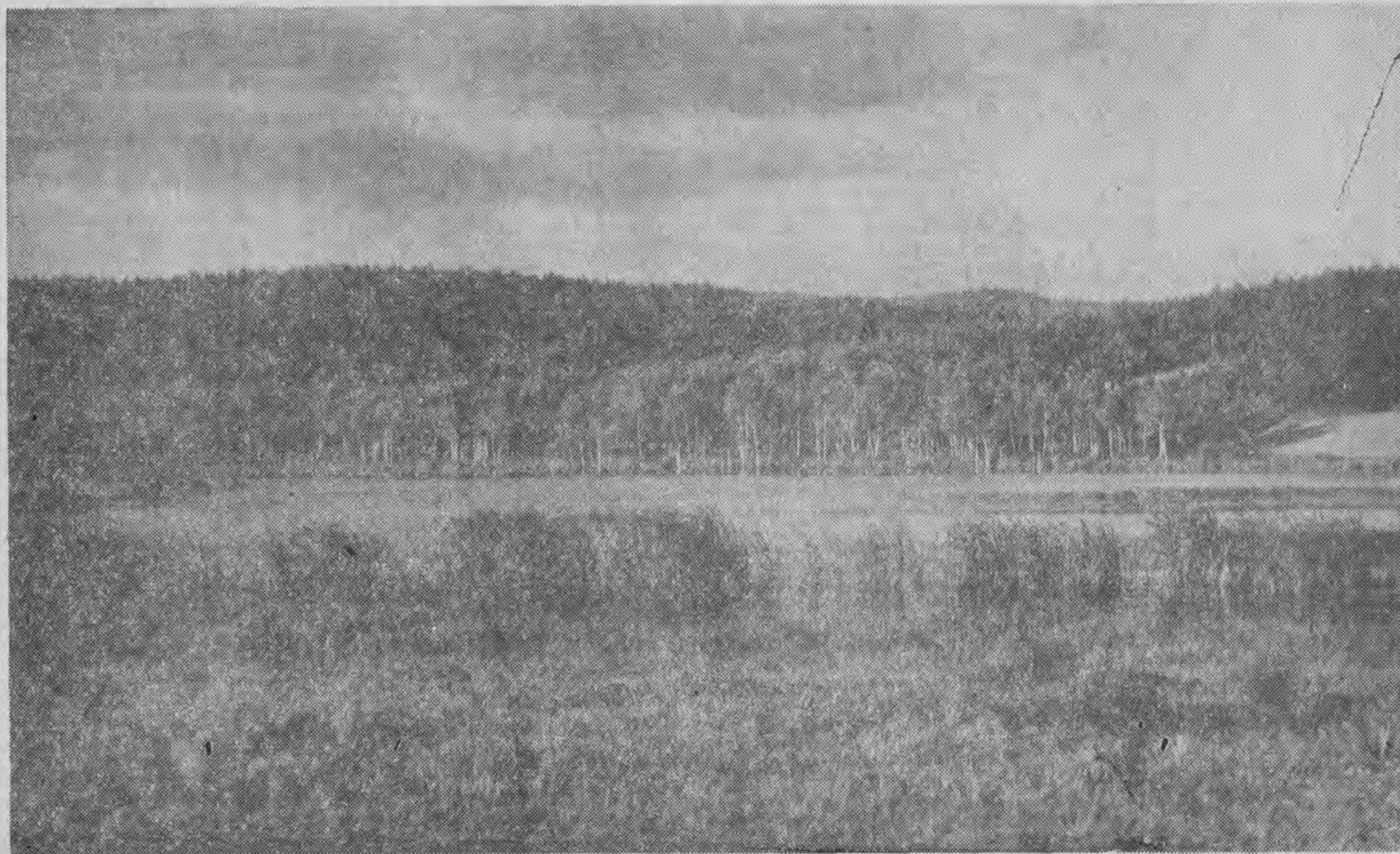
Przychodzą jako trzecie po dwu wiosennych i pięknych imprezach Dni Oświaty, Książki i Prasy oraz Dni Muzyki Kameralnej i wczesnym latem ustanawiają porę odświeżającą dla Rzeszowa.

Są pretekstem do przeglądu kulturalnego dorobku.

Muszę się zastrzec jednak, że kiedy piszę owe „są”, myślę o tym, czym powinny być, albo raczej czym będą, jeśli dopisze strona organizacyjna, jeśli nie powtórzy się starych błędów, jeśli oryginalność przełamie przestarzałe schematy.

Zaczynają się w dniu 13 czerwca, co jedni przyjmują jako zapowiedź kłeski, inni jako szczęśliwy początek — w sumie wszyscy muszą się zgodzić, że data jest nieco kontrowersyjna. Jest w tym roku także okazja do małego jubileuszu — obchodzimy je bowiem po raz piąty. Mamy więc poza sobą 4-letnie doświadczenie i w perspektywie moż-

(Ciąg dalszy na str. 2)



Fot. Z. POSTĘPSKI

Przyjechałem i wpadłem w oko cyklonu. Bieganie, trzaskanie drzwiami, gorączkowe narady — krzyżują się jak kliny pytania i polecenia. Ten żąda, by obejrzeć budowę estrad na rynku, tamten prosi o ocenę dekoracyjnych lampionów, ktoś inny domaga się pomocy przy instalowaniu głośników ulicznych. Żywny, o posturze osiłka ojciec miasta ugina się pod tą nawaliną. Trochę bezradnie rozkłada ręce, gdy proszę go o rozmowę. — Widzicie redaktorze, jak to u nas jest. Wszystko nam się zwalilo na głowy od razu — wybory, audycja w telewizji — 600-lecie miasta... Jak to się nam uda przeżyć i nie wyskoczyć z orbity, to i później jeszcze trochę pożyjemy. Nekany ze wszystkich stron przypominaniem, że jeszcze to, jeszcze tamto, ustala godzinę naszego spotkania i szarpany za rękawy przez jakichś techników wychodzi z nimi na miasto, przekazując mnie pod opiekuńcze skrzydła kierownika wydziału kultury Prez. PRN.

Ale i tu niełatwo o spokojną rozmowę. Telefon terkoce jak opętany — kierownik od kultury załatwia, załatwia, załatwia... U Straży Pożarnej drabinę, w rafinerii ekipę monterską do radiofonizacji, w stolarni jakieś deski — każdy brakujący gwóźdź czy drut w dekoracji miasta daje znać o sobie dzwonkiem na biurku. — Widzi pan, na co mi przyszło? — skarży się w przerwach. Ze strzępów urwanej rozmowy, z fragmentarycznej informacji wylania się zarys wielkiej jasielskiej uroczystości. W jednym z pism Komitetu Obchodu święta czytamy... „wiadomym czynimy, że upływa sześć wieków, odkąd król Kazimierz Wielki, przywilejem z dnia 26 kwietnia 1365 roku miasto nasze założył”.

Sześćset lat „ab urbe condita”. Czy istotnie? Któreż to już Jasio od fundamentów wyrosło na nowo w ciągu 6 wieków. Skąd ten kult dla historii, szukanie swej dumnej dawności w dziejach, w mieście, z którym tak okrutnie historia się obeszła? W XVII wieku Jasio prawie wymarło na skutek zarazy, grasowały w nim wojska Rakocznego, rabowały go stacje żołnierskie, rujnowały liczne pożary. Stało przed nim widmo zupełnej ruiny. W dwa wieki później nowy wyrok historii. W styczniu 1826 r. nawiedziła miasto pożoga. Z pożaru ocalało tylko kilka domów, cyrkuł i kościół para-

fialny. I znów trzeba było budować Jasio na nowo. Wreszcie rok 1944. Ułomny kreishauptman jasielski Walter Gentz wpisany w czasie procesu norymberskiego na listę zbrodniarzy wojennych mści się na bezbronnym mieście. Za to, że nie spełniły się jego nadzieje, które zawarł w broszurze „Jasio — Stadt und Land wieder unter deutsche Führung” wydanej w 1943 r., za to, że przegrało się wojnę, za to — któż może zresztą dokładnie wiedzieć ile i ja-

JAN GRYGIEL

Ab urbe condita

kiej nienawiści tkwiło w tym kulawym naziście. I Jasio znowu przestaje istnieć. Wyszadzone na zimno i z premedytacją dynamitem, palone miotaczami ognia, rabowane systematycznie z mebli i sprzętów przez „saperów” śmierci i zniszczenia — 65 pułk piechoty Wehrmachtu.

Po pożarze miasta na początku ubiegłego stulecia pozostał naiwny obraz drugorzędnego malarza Jana Bieszczada. Wisi do dziś w gabinecie sekretarza Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Nikt nie namalował śmierci Jasia w roku 1944. Ale obraz ten tkwi do dziś w żenicach jaślan, wylania się za każdym słowem, każdym wspomnieniem tamtych dni. Trzy miesiące trwała agonia miasta, przez trzy miesiące patrzyli wysiedleni mieszkańcy z pobliskich wzgórz na swoje płonące domy. Z 1230 budynków ocalało 39 na przedmieściu. Nie było gdzie i po co tam wracać.

A jednak wrócili. I jeszcze raz „ab urbe condita anno domini 1945”. Protokoły z zebrań Miejskiej Rady z roku 1945 pokazują kształt pierwszych dni i miesięcy na zgłiszczach Jasia. Nie wszyscy wrócili. Może ci lepiej znający historię swego mia-

sta odmówili tej historii votum zaufania? Odeszli z Jasia do miast, których nie trzeba wciąż budować na nowo? W pionierskiej osadzie, w kilka miesięcy po wyzoleniu mieszkało 780 mieszkańców. Tytuł zostało z 14-tysięcznego miasta. Mieszkało — to niezbyt ściśle — wegetowało w komórkach, piwnicach, w wypalonych ruderach... Mówi się w tych protokołach, że już 37 mieszkańców korzysta z prądu elektrycznego, że miasto otrzymało od radzieckiego komendanta kilka ton żywności do rozdziału, że śle się wciąż błagalne prośby o pomoc do Warszawy, Krakowa, Katowic, Chorzowa... Tadeusz Garbacik, Stanisław Mędrak, mgr Władysław Mendys, dr Franciszek Różański, ówczesni przedstawiciele Rady Miejskiej wciąż wędrowali samochodem, pociągami, w bydłych wagonach w zimie i o głodzie po całym kraju i tłumaczyli, przekonywali, prosili. W protokole wzmianka, że Rada postanowiła załatwić pozytywnie prośbę ob. Jana K. i przydzielić mu drzewo budowlane pod warunkiem, że sam sobie wyciągnie belki i trawersy z ruin magistratu.

I wreszcie pierwsze wyniki starań i interwencji. Czek na 2 miliony złotych podpisany przez prezesa Rady Ministrów Edwarda Osóbka Morawskiego, jako pomoc na odbudowę prywatnych domów, później pół miliona z Ministerstwa Odbudowy, następnie 750 tys. i od rzeszowskich władz wojewódzkich 400 tysięcy.

I wreszcie odbudowa kierowana przez warszawski Miastoprojekt z funduszy SFOS-u i dotacji państwowych.

Tak przez rozmowę, wertowanie dokumentów i wspominki spłaciłszy nam należną daninę historii i znów wróciliśmy do sytuacji wyjściowej i trzeba przyznać paradoksalnej. Do dwudziestej rocznicy budowy i odbudowy 600-letniego królewskiego miasta Jasia. Która rocznica jest ważniejsza i bardziej realna? Nikt tutaj, także i Józef Zychowicz, przewodniczący Prezydium MRN, z którym doszło wreszcie do przyrzeczonej rozmowy — nie ma żadnej wątpliwości — ta pierwsza. Nie, nie chodzi tu o świecenie w oczy tradycjami, dumną przeszłością o przytup „albośmy to jacy tacy”. — Ale policzmy redaktorze ile ten jubileusz przynosi nam wartości, trwałych, które po 600-leciu nam zostaną. — I zaczęliśmy wspólnie liczyć.

(Ciąg dalszy na str. 2)

EMIL GRANAT

Świat

Spieszyle gdzieś wysmukłe stalagmity jodeł
wziąwszy się pod ręce
rzędem —
dziewczęta.
Niebo zrzuciło broszki w wodę
sukni odpięte.

Od wschodu słońce, maleńkie, boso
pelzilo po pagórkach
łaki dymity rosą
ziemia żółkła.

Nie modny już od dawna
ale żyjący wciąż — słowik
jak na tronie czasu
niósł piosenkę.

Ciepłe były jak kiedyś i prawie, że piękne,
oczy twoje uwolnione od sennych powiek.

WIESŁAW KULIKOWSKI

Opowiadanie sądów

Wydzieram z siebie to kwitnące opowiadanie sądów —
i rzucają mi się w objęcia wspomnień pokrzywy —

nie przyznajesz,
nie pamiętasz
tych wieczorów rzucanych pod pociąg —

nie pamiętasz —
byłeś wtedy tylko sam ze światem —

— słabe były te ściśnięte pięści,
więc rozkwitły.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Stara bałh

Uch, ile mleka
z bielutkich konwalii
przez piersi kajsi babie przepłynęło.

lecz dziećmi porośł śmietnik z niedalek:

Zielony bór —
zielony, złoty dzban.
Od wieka trumny płacz do wieka.
Pod czerwony mur.

Osiem dni miasta

(Ciąg dalszy ze str. 1)

ność oceny — porównania z latami poprzednimi. Miejmy nadzieję, że wedle obowiązującej powszechnie zasady, iż doświadczenie zbliża ku doskonałości, tegoroczna organizacja Dni Rzeszowa będzie lepsza od poprzednich.

Bo zaczynała się ta impreza skromnie, trochę na wyrost, bez żadnych wzorów i tradycji. Grzeszyła nierzadko brakiem dobrych pomysłów, powielaniem krakowskich imprez, które w warunkach Rzeszowa owocowały 5 lat temu, np. żenującą żaknadą, reprezentowaną przez gromadkę wyrostków hałaśliwie i bez wdzięku. Ten wybitnie studencki obyczaj przeniesiony mechanicznie do miasta bez studentów musiał wtedy zakończyć się fiaskiem.

Dziś, 5-letni jubileusz Dni, znów zaczyna się je żaknada. Matki wszystkie dane po temu, by po raz pierwszy uwierzyć w celowość tego zamierzenia, które przejmą w swe ręce autentyczni studenci, dwóch wyższych uczelni rzeszowskich.

A zaplanowali swe juvenalia z rozmachem: wiele w nich wesołych pomysłów, nienowych wprawdzie i obrosłych tradycją w innych ośrodkach uniwersyteckich, niemniej jednak w Rzeszowie pokazanych po raz pierwszy. Patronują im Zrzeszenie Studentów Polskich i Zarząd Miejski ZMS, które przewidują w programie juvenaliów, inauguracyjnych Dni Rzeszowa, otrzęsiny, wybór najmilszej studentki, konkurs na pomysły kostiumu i wielki bal żaków, zamykający ten pierwszy dzień — Dzień Młodości.

Nieprzypadkowo właśnie dziś wspominam tę nieinteresującą imprezę sprzed 5 laty, dziś, gdy wierzę nareszcie w jej celowość; ilustruje ona bowiem w pełni nie tylko rozwój czerwcowego święta, ale samego miasta, dla którego w końcu te Dni są przeznaczone.

Jest rzeczą bezsporną, że omówienie Dni Rzeszowa należy zacząć od dorocznych, tradycyjnych spotkań teatralnych, które są fundamentem ich powodzenia, są od początku dobrze pomyślane i wprowadzają rzeczywiste ożywienie kulturalne w rzeszowskim środowisku. Ubolewać należy, że od roku są skrócone, i że w czasie dwóch pierwszych spotkań, które miały jeszcze posmak przyszłego festiwalu i nadzieję, dziś przekreślone centralnymi uchwałami, na imprezę z nagrodami o charakterze przeglądu teatrów Polski południowej, każdy z tych teatrów przywozi dwa spektakle, obecnie zaś prezentuje tylko jeden i nie zawsze najlepszy, jaki ma w repertuarze. Ale o tych rzeczach decyduje w wielu wypadkach szczupłość rzeszowskiej sceny i, niestety, kosztowność przedsięwzięcia, na które i tak przeznaczają Prezydium MRN około 220 tysięcy złotych, a więc blisko połowę całego funduszu Dni Rzeszowa (480 tys. zł.).

Interesującym novum tegorocznych spotkań będzie na pewno prezentacja rzeszowskiej publiczności dwóch teatrów: Państwowego Ukraińskiego Teatru Młodego Widza im. Gorkiego ze Lwowa i Państwowego Teatru im. Jonasa Zaborzkiego z Preszowa. Pierwszy z nich przywiezie z sobą 2 sztuki: „To nie takie proste” G. Szmielowej i „Biuro dobrych usług” T. Kożuszniaka; drugi zaprezentuje ambitne repertuarowe pozycje szekspirowską — „Romeo i Julia”.

Po raz pierwszy także weźmie udział w spotkaniach Teatr Narodowy z Warszawy, dając nową wersję sztuki Żeromskiego „Uciekła mi przepióreczka” w reż. Jerzego Golińskiego. Będzie to drugie przedstawienie „Przepióreczki” na spotkaniach teatralnych (przed trzema laty przyjechał z nim Teatr im. J. Osterwy z Lublina), niezwykle interesujące dla miłośników sztuki dramatycznej, choćby ze względu na możliwość porównania inscenizacji oraz dwóch aktorów w roli Przepióreczki: znakomitego wówczas Jana Machulskiego i obecnie grającego tę rolę Gustawa Holoubka.

Tradycyjnym już zwyczajem IV Rzeszowskich Spotkań Teatralnych wezmą w nich udział 3 teatry krakowskie: im. J. Słowackiego, który i tym razem zaprezentuje się skromnie i poniżej rzeczywistych możliwości (przeszkody techniczne), „Zabusia” G. Zapolskiej w reż. R. Niewiarowicza, Teatr im. H. Modrzewskiej — XVII-wieczna sztuka

St. Herakliusza Lubomirskiego „Don Alvarez” w reż. Z. Hübnera oraz Teatr „Rozmałości”, który przywiezie zeszłoroczną pozycję repertuarową „Barbarę Radziwiłłównę” A. Felińskiego, reżyserowaną przez Halinę Gryglaszewską. Nowohucki Teatr Ludowy zaprezentuje nam mocno dyskusyjny spektakl „Pustego pola” T. Holuja, w opracowaniu J. Szajny; Teatr im. Żeromskiego z Kielc wystawi w tym roku znakomitą sztukę zmarłego przed paru tygodniami francuskiego dramaturga R. Vaillanda „Heloiza i Abelard” w reż. J. Grudy, a Teatr im. J. Osterwy z Lublina współczesną sztukę amerykańską „Autobus do Montany” — W. Inge'a w reż. A. Uranowicza. Gospodarz spotkań — Teatr im. W. Siemankowej przygotował „Nocną opowieść” K. Chojńskiego w reż. Ireneusza Erwana.

Równoległe z IV Spotkaniem Teatralnym odbywać się będzie w sali Domu Kultury WSK II Przegląd Amatorskich Zespołów Dramatycznych Związków Zawodowych, zorganizowany przez WKZZ w ramach Dni Rzeszowa, w którym weźmie udział najlepszy teatrów z 70 istniejących w całym województwie. Przegląd ten będzie odbywał się pod hasłem „Teatry robotnicze ludzkiej pracy”, przynosząc różnorodny zestaw repertuarowy, że wspomnę choćby program „Meluzyna” „Ja się nie boję braci Rojek” według Gaczyńskiego oraz „Niepokój przed podróżą” Broszkiewicza, który wystawi scena młodzieżowa przy Teatrze „Metalowiec”.

Kiedyś już przy imprezach teatralnych warto wspomnieć o programie literackim pt. „Wszystko jest tobą” w reż. E. Buchelta, z którym wystąpi niedawno powstały Klub Studencki „Wuesik” oraz oryginalnej imprezie, proponowanej nam przez Klub Literacki „Noc jazzu i poezji”, będącej wynikiem uprzednio rozpisane konkursu na jeden wiersz dla młodych poetów Rzeszowszczyzny.

Z imprez o charakterze naukowym trzeba odnotować sesję popularnonaukową Studium Terenowego krakowskiej WSP i Oddziału Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza na temat „Z tradycji kulturalnych Rzeszowa i Rzeszowszczyzny” oraz spotkanie WKP NOT i Stowarzyszeń Naukowych Technicznych, mające na celu omówienie rozwoju Rzeszowa w latach 1965—70. Rzeczą będzie o tyle bardziej interesująca, że zostanie połączona z wystawą makiet o urbanizacji Rzeszowa w „Miastoprojekcie”. W trzecim dniu — Dniu Historii Miasta odbędzie się spotkanie aktywów młodzieżowego z działaczami ruchu rewolucyjnego, zakończone młodzieżowym quizem w Olszynie nt „Rzeszów i jego tradycje rewolucyjne”.

Miłośników plastyki zainteresują na pewno dwie wystawy: „Rzeszów i jego okolice” w rzeszowskim Muzeum oraz wystawa prac plastyka amatora z Łańcuta — A. Bigajskiego w Klubie Łączności. Dodajmy, że pierwsza z nich jest efektem konkursu plastycznego, który zainicjował Wydział Kultury Prez. MRN przeznaczając jednocześnie na nagrody sumę 14 tys. zł.

Kiedy przeglądam program tegorocznych Dni Rzeszowa, uderza mnie w nim mnogość imprez o charakterze młodzieżowym. Myślę, że dobry pomysł poświęcić tyle miejsca młodości, która autentycznym weselem zaludni miasto, otwierając czas święta juvenaliami i kończąc je 19 i 20 czerwca Dniami Młodości, w których zaplanowano i pochód zespołów artystycznych, i ognisko harcerskie, i rewie dziecięcą, i konkursy rysunkowe, i zabawę z pokazem ogni sztucznych.

Ważne jest jednak niezmiernie nie tylko to, co nam podsunęto gotowe, zorganizowane przez 18-osobowy Komitet Obchodu Dni Rzeszowa, któremu przewodniczy sekretarz KM PZPR — tow. Bronisław Błażej, ważna jest przede wszystkim atmosfera, jaka zapanuje w mieście — atmosfera rzeczywistego święta. A tę tworzą już sami jego mieszkańcy. Pozostał za ledwie tydzień czasu, by o tym pomyśleć.

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

Zyciorys literacki Marii Dąbrowskiej rozpoczyna się w przededniu pierwszej wojny światowej od artykułów ogłaszanych w warszawskiej „Prawdzie” i nowel, z których kilka weszło potem w skład tomu pt. „Uśmiech dzieciństwa” (1923). Zyciorys literacki wielkiej pisarki, która zgasła 19 maja, trwał więc pół wieku, rozegrał się między dwiema rewolucjami — tą z 1905 i tą z 1945 — poprzez dwie wojny światowe i poprzez dwie niepodległości.

Ale daty bibliograficzne pierwszej i ostatniej publikacji nie wystarczą dla wyznaczenia pisarzkowi miejsca w czasie historycznym. Za nim pisarz ogłosił swój pierwszy utwór, już nań pracuje, już nań zbiera materiał i energię, już tworzy się to, co historyk literatury nazwie formacją pisarza lub jego rodowodem ideowym. Data pisarskich narodzin znajduje się z dala od daty jego debiutu, im dalej — można powiedzieć — tym pisarz większy, tym głębiej i mocniej zakorzeniony w kulturę narodową, tym poważniejszy jego tytuł do literackiego szlachectwa. W porzecznej literaturze polskiej istnieje swoista prawidłowość, swoisty rytm: geniusze literacy rodzą się na gruzach wielkiej idei, wstąpił Ideowy przychodzi w okresach załamania po klęsce. Romantyczna generacja doszła do głosu, gdy przepadała szansa odzyskania niepodległości czynem zbrojnym. Czyn literacki generacji pozytywistycznej wypełnił epokę Ideowego marazmu, jaka nastąpiła po upadku powstania styczniowego.

Maria Dąbrowska zaczęła pisać w atmosferze przygnębienia i sceptycyzmu, jakie opanowały umysły polskie po stłumieniu rewolucji 1905 roku. Ale nie ta jest pierwsza data historyczna, którą umieścić należy w jej literackim rodowodzie. Jej dzieciństwu i młodości towarzyszyli ludzie, którzy najpiękniejsze swoje wspomnienia łączyli z 1863 rokiem.

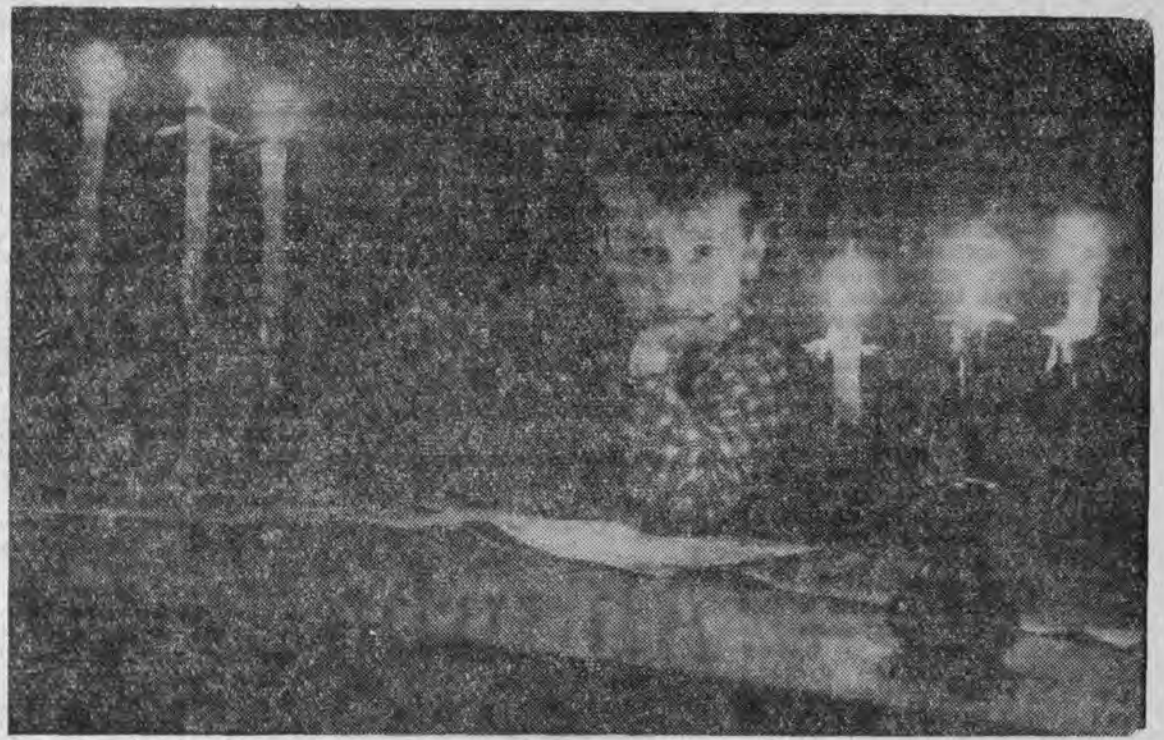
ANDRZEJ KIJOWSKI

Całość

Powstańcem był ojciec pisarki, jego przygody powstańcze i późniejszą tułaczkę przypisała autorka „Nocy i dni” swemu głównemu bohaterowi — Bogumiłowi, cała historia rodziny Niechciców rozgrywa się wokół powstania i jego skutków. Dlatego są biedni, że było powstanie, dlatego tak pracują, aby się podnieść z klęski, dlatego Barbara wychodzi za Bogumiła, że był on powstańcem, a gdy nadejdzie wiadomość o rewolucji w 1905 roku, przywita ją z radością, bo jej się wydaje, że zmartwychwstaje na jej oczach idea pogrzebana, że wznowia się dramat przerwany wówczas. Barbara Niechcicowa jest rówieśniczką Stefana Żeromskiego: jak on przyszedł na świat w roku klęski, i jak on przeżył całe życie w jej aurze i w nadziei rewanżu; Agnieszka Niechcicówna jest rówieśniczką Marii Dąbrowskiej: córka Barbary wzięła od matki nastrojów oczekiwania, obowiązek przygotowania się do nowych zadań i nadzieję. Z entuzjazmem witać będzie każdą próbę odbudowy niepodległości, każdą próbę zbiorowego czynu, każdą zapowiedź, że w życiu narodu zaczyna się nowa era: dołączy do pochodu „dzieci i robotników” w 1905 roku, powita z radością i egzaltacją pierwszych polskich żołnierzy w roku 1914... Maria Dąbrowska nie przedłużyła poza wojnę światową swej opowieści o rodzinie Niechciców. Przedłużyć ją można w wyborach, śledząc dalsze losy samej pisarki, jej entuzjazmy, jej nadzieje, jej akty pisarskie i obywatelskie, których linia przewodnia rozwija się tym samym rytmem, co stanowi oś konstrukcyjną sagi rodu Niechciców. Zyciorys literacki Marii Dąbrowskiej biegł po linii styczniowej z życiem narodu, wpisała go Ona w jego cykl historyczny; zyciorys literacki Marii Dąbrowskiej,

Jej dramat ideowy rozegrał się w epoce dla narodu decydującej i przełomowej, na przestrzeni szerokiej, obejmującej schyłek marzeń romantycznych, wstąpił i upadek myśli pozytywistycznej oraz proces wyłaniania się idei nowych, proces przekształcania się zbiorowości polskiej w naród nowoczesny, proces jego przystosowania się do życia w nowym wieku, w nowym świecie.

W organicznym związku z życiem narodu kształtuje się filozofia człowieka i filozofia sztuki. Wolne i szczęśliwe społeczeństwo utworzyć mogą tylko ludzie wolni i szczęśliwi osobicie. Wolni i szczęśliwi są tylko ci, co pracują dla siebie, dobre jest tylko to, co jednostce umożliwia pełny rozwój zdolności i realizację pragnień. Dobra jest sztuka, która rozszerza i utwierdza wolność i szczęście pojedynczego człowieka, a przez niego — wolność i szczęście wspólne. „Ostoję się tu, w tym społeczeństwie tylko dlatego, że żyję w ustawicznym napięciu wszystkich moich władz. Niech tylko na chwilę opuszczę ręce, wehłonie mnie prace napróżd życie — zniszczy. Jestem sam twórcą mojego prawa do życia — mówię człowiek pracujący”. „Demokratyzm u nas i gdzie indziej”, (1913). „Sztuka... uspołecznia człowieka w taki sposób, w jaki uspołecznia go, czyni otwartym duchowo dla bliźnich — wielkie, na wskroś indywidualne szczęście miłosne we wzniosłym i pełnym znaczeniu tego słowa. Lub inaczej: staje się wartością społeczną w taki sposób, w jaki staje się nią, posunięte aż do granic ofiary z życia, indywidualne bohaterstwo”. („Zawód literacki jako służba społeczną”, 1934—35). Powtarza tu Maria Dąbrowska myśli Stanisława Brzozowskiego i Edwarda Abramow-



Fot. K. BUTWIŁOWSKI

Ab urbe condita

(Ciąg dalszy ze str. 1)

— Ile tu ludzie napracowali się społecznie nad doprowadzeniem miasta do polysku! Wartość tej pracy od 1961 roku wynosi 3 miliony złotych. Miasto uzyskało tą drogą kilka kilometrów sieci gazowej, kilka kilometrów sieci wodociągowej, przebudowę nawierzchni 5 km ulic, uporządkowanie parku, dużo zielonych i skwerów. Na te cele wszyscy pracownicy w mieście wpłacili 1 proc. od swych poborów, a młodzież szkolna pracowała wiele godzin.

Pozostanie także monografia historyczna miasta i powiatu. Trzy lata trwały nad nią prace — kosztowała wiele pieniędzy, ale warto było podjąć ten wysiłek. Ktoś może nam zarzucić, iż nie zrobiliśmy jej własnymi siłami, że redagowali ją i napisali do niej większość rozpraw pracownicy nauki UJ i WSP z Krakowa — ale to przecież przeważnie byli jaślanie.

Jubileusz 600-lecia upamiętni obelisk, który również będzie trwałą pozostałością dla miasta, i ten pomnik naszej przeszłości powstał w

czynnie społecznym. Zaprojektował go nasz inż. architekt Drzymalski, a wykonał projekt zakłady pracy z Jasła. Jeśli nam się uda dopiąć wszystko organizacyjnie, to również w czasie jubileuszu wmurujemy kamień węgielny pod Dom Kultury w Jasle. I to będzie chyba najtrwalsza zdobycz obchodów 600-lecia. Buduje go miasto również własnym wysiłkiem, w czynnie społecznym. Wprawdzie budowa będzie trwała 4 lata, lecz jeśli dom kultury powstanie, to tylko dzięki porywowi patriotyzmu lokalnego i rozbudzeniu inicjatywy społecznej jaślan w związku z obchodami 600-lecia.

I w tym leży właściwie cały sens tego wielkiego święta. Jasło jest miastem o ludności napływowej — z dawnych mieszkańców pozostała garstka. Ludzie nowi nie czuli się uczuciowo z nim związani — ot miejsce, gdzie się jakoś żyje i pracuje, nie lepiej i nie gorzej niż gdzie indziej. Nie łączyła ich z sobą pamięć o tragicznych przeżyciach miasta ani umiłowanie jego przeszłości. Nie byli specjalnie zainteresowani rozwojem miasta, jego przyszłością, wyglądem... Obudzenie

mądrego patriotyzmu lokalnego, zaangażowania w sprawy miasta i kultu dla jego przeszłości historycznej jest w Jasle sprawą ważniejszą niż gdziekolwiek, ważniejszą nawet niż budowa obelisku czy domu kultury. I zdaje się, że ta sprawa została wygrana. A tego wprawdzie nie można wymierzyć w milionach, ale przede wszystkim to się liczy.

Kult dla miasta... wartości patriotyzmu lokalnego... Ileż pór wystrzępili niektórzy „europejczy” wymieniając te cechy jako objawy „brakowatości” i kultuństwa. A tu w Liceum Ogólnokształcącym w Jasle oglądam wystawę jubileuszową, a w niej listy od byłych jaślan. Dziwni to ludzie. W dalekim Poznaniu czy Gdańsku łączą się w kluby, spotykają w pewnych dniach w określonych kawiarniach i wspominają swoje miasto. Dyskutują, wyklócają się o szczegóły, a później ślą depesze do Jasła z pytaniami... „Kto należał do chóru „Echo” przed wojną...”. Lub „kiedy Stefan Jaracz chodził do gimnazjum w Jasle”. A większość z nich, to ludzie, którymi

i tad

skiego o pracy jako wartości moralnej, powtarza i rozwija cudowny aforyzm Norwida: „Czemże jest piękno? Kształtem jest miłości...”, podejmuje ideę Josepha Conrada o sztuce, jako swoistej formie bohaterstwa.

Realistka z krwi i kości, zamiłowana w konkretnie życiowym, pracująca zawsze w materiale sprawdzalnym, zachowująca się w świecie ducha z ostrożnością i dyscypliną przyrodnika, była zarazem Maria Dąbrowska idealistką w najbardziej potoczny, najbardziej znanym sensie tego słowa. To znaczy wierzyła w moc idei, w to, że są one zdolne człowieka przemienić i uczynić szczęśliwym. Wierzyła w to, że magiczne formuły wolności i szczęścia każdy w sobie nosi, że każdy zdolny jest uczynić ze swego życia to, o czym marzy, to, do czego aspiruje. Wierzyła we władzę człowieka nad swym losem. Opowiadała o ludziach zniekanych i wydrwionych przez życie, rzuconych przez nie, jak przez fale okrutnego, conradowskiego morza. I opowiadała o tym, jak człowiek staje się szczęśliwy pośród nieszczęścia, wolny pośród niewoli, spokojny i pogodny pośród powszechnego wzburzenia — jak ów Klemens Łohojski z „Trzeciej jesieni”. Była optymistką. „Nie stać nas na luksus pesymizmu” — powiedziała kiedyś żartobliwie.

Sama miała prawo do optymizmu i pogody. W epokę okrutnej, szarpającej na strzępy żywoty i dzieła ludzkie, zrealizowała życie i dzieło, które jest całością i ładem. Dokonała aktu miłości i bohaterstwa.

ANDRZEJ KIJOWSKI

Jak będzie wyglądała biblioteka kosmonautów?

W przyszłych dalekich i długotrwałych podróżach międzyplanetarnych trzeba też będzie pamiętać o tym, aby pasażerowie pojazdów kosmicznych nie nudzili się. Oczywiście, audycje TV i radia będą mogli odbierać „na żywo”. Ale jeśli któryś zechce „po ziemsku” coś przeczytać?

Otóż Amerykanie już przygotowali dla swoich kosmonautów „podręczną” biblioteczkę — dzieła klasyczne, współczesne bestsellery i — jakżeby inaczej — komiksy. Razem — 4 miliony stron, ok. 20 tys. tomów. Waży zaś to wszystko zaledwie... 40 kilogramów i da się zmieścić w jednej walizce.

Oczywiście, wszystkie te książki zmikrofilmowano najnowszymi aparatami, dzięki którym np. wszystkie dzieła Wiktora Hugo mogą się zmieścić w... pudełku od zapalek. cała zaś „Encyklopedia Brytyjska” (23 tomy, 24 tys. stron) — na taśmie filmowej o rozmiarach jednej bibulki do papierosów.

(Kt-PAP).

60-lecie twórcy „Cichego Donu”

Michał Szolochow obchodził 24 maja 60 rocznicę urodzin. Z tej okazji odznaczony został Orderem Lenina.

Szolochow należy do najbardziej popularnych pisarzy współczesnych, a jego książki ukazały się dotychczas w 73 językach. Powieść „Cichy Don” miała jedynie w USA i Anglii 26 wydań. Opowiadanie „Los człowieka” wydane zostało dotychczas 46 razy. Ogólny nakład utworów Szolochowa w ciągu 40 lat jego działalności literackiej przekroczył 41 mln egzemplarzy.

Znany radziecki historyk literatury Lew Jakimienko poinformował korespondenta TASS o prowadzonych obecnie w ZSRR badaniach twórczości Szolochowa. W ostatnim okresie nastąpiło poważne rozszerzenie kręgu naukowców zajmujących się dorobkiem literackim autora „Cichego Donu”, a w Rostowie nad Donem powstał specjalny ośrodek koordynujący te prace. Na uniwersytetach Moskwy i Rostowa istnieją stałe szolochowskie seminaria studenckie.



Fot. B. LOEBL

45 lat na scenie

Rozmowę w gościnnym mieszkaniu państwa Kondratów na Mokotowie rozpoczęliśmy od spraw przemyskich. Popularny aktor Józef Kondrat urodził się przecież w Przemyślu i w tym pięknym mieście oczarował go, urzekł swą „magią” teatr. Jako dziesięcioletni chłopak zakradł się do „Fredreum”, aby zobaczyć którąś ze znakomitości tej jedynej w swoim rodzaju, reprezentującej wysoki poziom amatorskiej sceny. Pamięta na przykład aktora tak znakomitego, że można by go porównać z Frenkiem, był w jego typie, nazywał się Łazor, aktor — amator, właściciel drukarni.

„Widziałem go jako Cześnika w „Zemście”, widziałem w kilku komediach rodzajowych (Balucki, Bliźniaki), to było ogromne przeżycie, to była sztuka aktorska wysokiej klasy. W ogóle muszę panu powiedzieć — tłumaczy p. Kondrat — Przemyśl ówczesny miał jakąś szczególną atmosferę, klimat, w którym rozwijały się zainteresowania teatrem. W mieście było kilka zespołów amatorskich, ale zdecydowanie prym wiodło „Fredreum”, prowadzone przez ludzi o wielkiej kulturze. I chyba dlatego z Przemyśla wyszło tylu wybitnych, trwale zapisanych w dziejach polskiej sceny aktorów. Wspomnę tutaj o aktorze tej klasy co Stefan Hnydziński (zginął we wrześniu 1939 r.), Stanisław Daczyński (zmarł przed rokiem aktor teatru Współczesnego). Z kręgu „Fredreum” wyszła również Barbara Kostrzewska, Kazimierz Opaliński, wreszcie mój młodszy brat, Tadeusz Kondrat.

W „rozkochanym” w teatrze Przemyśla zaczął również swą przygodę ze sceną Józef Kondrat. Mając kilkanaście lat grał w Domu Robotniczym, statystował w „Fredreum”. W roku 1918 znalazł się jako ochot-



nik w wojsku polskim, a w rok potem 18-letni ułan przechodząc wraz z kolegą obok gmachu Teatru Wielkiego w Warszawie powiedział:

— Wiesz co Kaziu, ja będę grał w tym teatrze!

— Coś ty, zwarłowałeś! — zareplikował sceptycznie kolega. Ale młodziutki ułan dopiął swego. Po dwunastu latach rzeczywiście występował na scenie Teatru Wielkiego.

W roku 1921 jako zdemobilizowany żołnierz wraca do rodzinnego Przemyśla. Przy tamtejszej YMCE powstał teatrzyk, Kondrat wystąpił w roli Kościuszki. Przedstawienie to oglądał dyrektor teatru objazdowego z Krakowa i zaangażował

dwudziestoletniego eks-żołnierza do swego teatrzyku.

— Grałem w słynnej szmirze, w „Obronie Czestochowy” i to była moja pierwsza rola. Przez trzy lata pracowałem w teatrach objazdowych. Czegóż ja tam nie grałem!

Wspominam te czasy z sentymentem, bardzo lubilem tych ludzi, to byli fanatycy teatru. Graliśmy o głodzie i chłodzie, gorący obiad jedliśmy dwa razy w tygodniu. Poziom nie był wysoki, ale też nie było rzeczy szmatławych, jakichś podkasanych pseudo-kabaretów itp. Kierownikiem jednego z teatrów objazdowych był zdolny aktor Stefan Michulowicz (ostatnie lata swego życia spędził w Rzeszowie, będąc członkiem zespołu teatru im. Wandy Siemaszkowej), graliśmy razem w „Carewiczu”, nieco później graliśmy również z Karolem Adwentowiczem.

Józef Kondrat zdał w 1924 roku egzamin jako eksternista i odtąd już staje pewną nogą w teatrze. Pracuje w teatrach w Łucku, Lwowie, Lublinie, Poznaniu i wreszcie dostaje się wraz z żoną Gustawą Błońską (aktorką i reżyserką) do teatru Szyfmana w Warszawie.

— Pan pozwoli, że wrócę jeszcze do lat „górnjej i chmurnej” młodości. To ładnie brzmi: zdał egzamin jako eksternista... a przecież to były bardzo trudne lata, pracowałem w niełatwych warunkach, każdą wolną chwilę wykorzystywałem na naukę. Marzyłem np., by dostać się do szkoły aktorskiej, do Zelwerowicza, ale nie stać mnie było na to, chociaż było mi bardzo ciężko, nigdy nie mogło być mowy o rezygnacji z pracy w teatrze. Wielu moich ówczesnych kolegów odpadło po drodze, nie wytrzymał tej szalonej orki.

Kondrat rozpoczął właśnie 9 rok pracy w teatrze Polskim u Szyfma-

na, gdy wybuchła wojna. W okresie okupacji znajduje schronienie w Zamojskiem, wraz z żoną pracując w konspiracji. W 1944 r. na apel PKWN przystępują do organizacji życia teatralnego na wyzwolonych terenach; pierwszym etapem jest Białyostok (p. Józef grał tu Smugonia w „Przeziębłach” i Henryka w „Lekkomyślnych siostrach”, ten ostatni spektakl w reżyserii żony, Gustawy Błńskiej powtórzono później w Rzeszowie), następnie Rzeszów (żona prowadzi tutaj Studio Dramatyczne, którego adeptami są m. in. Kazimierz Dejmek, Adam Hanuszkiewicz, Ignacy Machowski) a potem Lublin, rok u Horzycy w Bydgoszczy i w 1948 z powrotem Warszawa, od 1955 w Teatrze Współczesnym u Axera.

W okresie 45 lat pracy artystycznej grał setki ról i rolek. Spośród nich wylicza kilka, najbliższych: był więc Sokratesem w „Obronie Ksantypy” Szaniawskiego, Mężem w „Ich czworo” Zapolskiej, Anzelmem w „Pierwszym dniu wolności” Kruczkowskiego, grał w głośnej sztuce „Czekając na Godota” Becketa.

Do swoich ulubionych ról zalicza Papkina w „Zemście”. Józef Kondrat wystąpił w tym przedstawieniu wraz z Jerzym Leszczyńskim, spektakl zszedł tylko... 262 razy! Obecnie występuje w głośnym przedstawieniu „Śniadanie u Tiffany” Trumaną Capole i w komedii muzycznej „My fair Lady”, (obydwie role gościnnie, w teatrze „Komedia”).

Zawsze najbardziej pociągało go aktorstwo charakterystyczne. Obdarzony dobrym słuchem i głosem podejmował dziesiątki ról, wymagających takich właśnie umiejętności. Zaśpiewanie piosenki, wykonanie jakichś układów tanecznych nigdy nie sprawiło mu trudności.

Powiada o sobie tak: — Jestem aktorem realistycznego teatru. To nie znaczy, by były mi

(Ciąg dalszy na str. 4)

każde miasto może się poszczycić. Profesorowie uniwersytetów i uczeni, wybitni lekarze, artyści. Niektórzy z nich nawet nie urodzili się w Jasie, lecz tu kończyli gimnazjum i zawsze o tym pamiętają. Czytam w listach najstarszych, sławnych jaślan do najmłodszych: „Zamierzam pojechać do Jasła na Szóstetlecie miasta, którego nazwa jest poematem — przy tej okazji chciałbym się znaleźć w kółku (historycznym w Liccum J. G.) broni Boże nie jako środek — aby porozumieć się w sprawie poruszonych w liście...” pisał prof. Hugo Steinhaus z Uniwersytetu Wrocławskiego.

„Ucieszyliście mnie wiadomością, że pamięć mego pobytu w murach gimnazjum jasielskiego jeszcze się utrzymuje... Istotnie wspominam tamte mury i tamte czasy ze wzruszeniem. Wspominam też tych co mnie wprowadzili na pola historii, a więc Profesorów, Węgryńskiego i Truszkowskiego ułanów w oddziałach partyzanckich 1863 roku, a także prof. Klemensa Hammera, który objął po nich przewodnictwo...” oto fragment listu Profesora Stanisława Pigonia.

W pięknym, obszernym liście pełnym jasielskich wspominków prof. Wit Rzepecki wybitny specjalista chirurgii płuc powiada: „Oto wzruszający przykład więzi między starszym i młodszym pokoleniem...”

przykład chwalebnej ciągłości nauki u wychowanków szkoły, która niedługo będzie obchodzić stulecie swego istnienia...”

Ileż tych nazwisk... profesorowie Józef Garbaciak, Włodzimierz Szewczuk — psycholog z UJ, Jan Leśniak — matematyk z UJ, Zbigniew Kukuński, Władysław Krukowiecki z UJ, Stanisław Łoś z Lublina — artyści malarze Jan Wodyński, Stanisław Szczepański — dziennikarze Zbigniew Turek, Stanisław Peters itd.

Jasło niezwykle sobie ceni tych swoich synów i związki z nimi. Uchwała Miejskiej Rady Narodowej przyznała trzem z nich z okazji 600-lecia obywatelstwo honorowe miasta — Piotrowi Jaroszewiczowi — wieloletniemu posłowi z okręgu Podkarpacka, Stanisławowi Pigońowi i Hugonowi Steinhausowi. Dla innych przygotowano piękne albumy obrazujące przeszłość i dzień dzisiejszy Jasła.

A ile przywiązania, ile zaangażowania uczuciowego nie zawsze w słowach, lecz w działaniu wykazują rodziciele starzy jaślanie na miejscu. Praca w Komitecie Obchodu 600-lecia nie liczy się na dziesiątki, lecz na setki godzin, które trzeba było wypruć z czasu przeznaczonego na odpoczynek po pracy. Zebrania komitetu gromadzą wszystkich jasielskich patriotów, ludzi dla miasta

najbardziej zasłużonych. Są żarliwie, nawet trochę pieniackie, nad każdym szczegółem uroczystości długo i z zacietrzewieniem się dyskutuje. Bo każdy szczegół wymaga mroźczej pracy. Trzeba np. wysłać 1500 zaproszeń nie tylko do różnych miast w Polsce, lecz do Kanady, Australii, Nowej Zelandii, USA, Francji itd. Kto zaadresuje? Trzeba zatwierdzić sprawę projektu i druku okazałych broszurowanych zaproszeń. Kto? Przewodniczącą Komitetu Władysław Mendys, sekretarz Stanisław Szustkiewicz — panowie Józef Mordawski, Kazimierz Zieliński, Mieczysław Wieliczko dawno już zapomnieli jak wygląda wolne popołudnie.

Ale dzięki nim Jasło i jego rozproszeni po świecie obywatele przeżywają swój piękny dzień — dzięki ich pasji miasto tętni życiem kulturalnym i realizuje swoje coraz wyższe ambicje.

Jubilatów w czasie uroczystości wypada zapytać czego sobie życzą w najbliższej przyszłości i jak układają swoje plany życiowe. Pytam więc o to „ojca miasta”. Zaczyna od melancholijnego stwierdzenia, że Jasło nie może swoich osiągnięć przymerzać do czasów przedwojennych, jak czynią to inne miasta, gdyż zaczynało po wojnie od zera. I podczas, gdy Krosno lub Gorlice

mogą się szczycić wzrostem swych grodów, prawie podwojeniem ilości mieszkańców Jasło dopiero osiągnęło wielkość i stan liczebny przedwojenny — 14 tys. mieszkańców. Aby miasto mogło się dalej rozwijać konieczne są dalsze inwestycje przemysłowe. W tym zdystansowały Jasło także miasta sąsiednie. Na szczęście w przyszłej 5-lacie pomysłano o tym. Projektuje się poważną rozbudowę kosztem kilkuset milionów złotych Zakładów Chemicznych, rozbudowę Rafinerii, budowę fabryki sadzy technicznej. Najbardziej jednak liczymy na powstanie huty szkła technicznego, która zatrudni ponad 1000 osób. Jeśli któraś z tych inwestycji nie wypadnie z planu, będzie gdzie pracować i z czego żyć.

Dla nas to są sprawy gardłowe — powiada mój rozmówca. Miasto bowiem będzie mogło w przyszłej 5-lacie dać mieszkańcom 2/3 mniej izb mieszkalnych niż w ubiegłej. To będzie w efekcie, zupełnie znikoma ilość izb mieszkalnych, a sytuacja mieszkaniowa w mieście jest dramatyczna. Około tysiąc podań wymaga załatwienia. Większość zadań w tym zakresie spoczywa na budownictwie zakładowym i spółdzielczym (które łącznie planują dać miastu około 1500 izb).

Poza tym mamy mnóstwo innych pilnych potrzeb, o realizację ich wal-

czymy długo i niestety bezskutecznie. Stale skreśla się nam z planu budowę hotelu miejskiego — nie mamy stadionu sportowego z prawdziwego zdarzenia — istniejący zabiera nam huta szkła na rozbudowę zakładu. Nie przewidziano dla nas w 5-lacie budowy nawet jednego żłobka i przedszkola, bez których obejść się nie możemy. W czynach społecznych nie wszystko można zrobić — jest pewna granica — do jej przekroczenia ciężar staje się ponad siły. Może z okazji naszego święta łaskawiej spojrz na nas WKPG w Rzeszowie?

Mam wyrzuty sumienia — nie wymieniłem wszystkich bolączek, postulatów i życzeń jubilatów. Spece od planowania dobrze zresztą wiedzą czego Jasło trzeba.

W piosence, której dorobiło się Jasło z okazji obchodów 600-lecia Tadeusz Śliwiak tak pisze o tym mieście: „Kiedyś był ogień — nie było Jasła

wzgiełone domy straszły nocą lecz z pożarami w ludziach

nie zgasała siła i upór, by znów rozpocząć...” Dzięki temu powstało nowe i czyste miasto, dzięki temu żyje z rozmachem i temperamentem. Ale temu miastu z charakterem trzeba pomóc, bo na to zasługuje.

JAN GRYGIEL

Kościół i kobieta

„Kobiety odgrywają w Kościele szczególną rolę. Nie zajmują wprawdzie stanowisk kierowniczych, nie otrzymują święceń i — według określenia św. Pawła — „milczą w Kościele”, a przecież one głównie wypełniają nasze świątynie, bo stanowią dwie trzecie, a nieraz cztery piąte wiernych obecnych na nabożeństwach, one oblegają nasze konfesjonały i przystępują do Komunii św., w nich znajduje najchętniejszy odzew każdy apel, gdy chodzi o jakąkolwiek akcję religijną — charytatywną...”

...W tych warunkach duszpasterstwo kobiet posiada dla Kościoła doniosłe znaczenie — jak przygotowują kobiety do spełnienia tego tak ważnego dla Kościoła zadania: utrzymania życia religijnego w domach, w rodzinach i jak wykorzystają kobiety dla pracy misyjnej”. W ten sposób scharakteryzował ks. Józef Pastuszka na łamach „Ateum Kapłańskiego” miejsce kobiet w życiu religijnym w Kościele katolickim w Polsce.

Przez wieki całe Kościół traktował kobietę jako istotę niższego niejako rzędu, odmawiając jej równych praw z mężczyzną tak w życiu Kościoła, jak i w życiu społecznym. To stanowisko, jeśli chodzi o sytuację kobiety w Kościele, utrzymane zostało po czasy współczesne. W ramach Kościoła kobieta może spełniać jedynie funkcje wykonawcze, realizatora kościelnych dyktand, traktowana jest jako instrument, środek walki o najniższe cele, które hierarchia chce osiągnąć. Odmawia się jednako kobiecie prawa do samodzielności, do wolności nie tylko decyzji, lecz również wypowiedzi w sprawach, w które zostaje zaangażowana.

W życiu społecznym kościelna wizja miejsca i roli kobiety systematycznie się dezaktualizuje. Wizja ta zbiedzna była z poglądami na rolę kobiety, które panowały w okresie formacji niewolniczej i feudalnej. Ale jeszcze w okresie formacji kapitalistycznej powstał ruch emancypacyjny — walki kobiet o równouprawnienie z mężczyznami, o dopuszczenie ich do współdecydowania w kwestiach społecznych i publicznych, o uzyskanie praw wyborczych, praw do pracy zawodowej. W dobie socjalizmu kobieta zyskała autentyczne równouprawnienie.

W warunkach socjalizmu uczy-

niono wiele wysiłków w celu wyraźnego podkreślenia godności kobiety i społecznego uznania jej miejsca, pracy, roli i pozycji. Umożliwienie kobietom równouprawnienia w utrzymaniu pracy i zniesienie dyskryminacji w uposażeniu kobiet, tak typowej dla formacji kapitalistycznej, jest tego praktycznym, codziennie spotykanym potwierdzeniem. Zorganizowanie sieci placówek wychowawczych i opiekuńczych o zasięgu nigdy w historii kraju niespotykanym (żłobki, przedszkola, opieka nad matką i dzieckiem, opieka nad kobietą ciężarną itp.) jest miernikiem zaangażowania ludowego państwa w poprawę bytu kobiety.

Kobiety walczące o emancypację, o uznanie ich praw publicznych i społecznych nigdy nie spotkały się z jakimkolwiek wsparciem ze strony Kościoła. Przeciwnie, hierarchia zawsze występowała w roli rzecznika zachowania tradycyjnej sytuacji kobiet, zwalczając ich emancypacyjne dążenia (np. w Polsce w okresie pozytywizmu), występując przeciwko „uzurpacji” kobiet do zajęcia należnego im społecznie stanowiska.

I dziś także hierarchia nadal występuje z programem ograniczenia się kobiet głównie do pracy domowej, do prowadzenia gospodarstwa domowego, wychowania dzieci itd. Ta skłonność do utrzymywania kobiety w ramach czterech ścian domu jest programem w pełnym tego słowa znaczeniu zachowawczym. U podstaw tej linii leżą te same przesłanki, które znajdują się u podstaw całego społecznego zachowawczego programu Kościoła: przeciwstawienie się wszelkim formom postępu, utrzymywanie stanów, w których najlepiej czuje się i funkcjonuje klerykalizm. Odwołuje się on nie do współczesnych ambicji kobiet, lecz do konserwatyzmu.

Kobiety zaangażowane społecznie stanowią mniej podatne środowisko dla inicjatyw, które prowadzą do przekształcenia ich w bierny instrument klerykalizmu. Społeczne miejsce nowoczesnej kobiety daleko odbiega od idealów, które usiłuje wnieść w to środowisko Kościół. Między tymi ideałami a ambicjami kobiet i ich po prostu życiowymi potrzebami istnieje olbrzymia przepaść.

WIEŚLAW MYŚLEK



Dr TADEUSZ STANISZ — zasłużony działacz kulturalno-oświatowy.

Rys. J. SIENKIEWICZ

45 lat na scenie

(Ciąg dalszy ze str. 3)

obce jakieś nowoczesne poszukiwania (na przykład w „Godocie”), ale najlepiej czuję aktorstwo realistyczne. Wydaje mi się, że wychodząc właśnie z tych założeń, można najcelniej pokazać prawdę o człowieku, a o to przecież ostatecznie najbardziej mi chodzi.

45 lat na scenie, prawie pół wieku. Setki ról, tysiące przedstawień, przebogate doświadczenia.

„O nieodpartym uroku” teatru, o jego mocy przyciągającej — tłumaczy — stanowi przede wszystkim sugestywność sztuki aktorskiej w jej przeróżnych wariantach. Ale o powodzeniu... często decyduje przyszłowiowy „lud szczęścia”. Co daje aktorowi najwięcej satysfakcji? — chyba przekonanie o prawdziwości

popularnego powiedzenia, że „nie tylko chlebem człowiek...”

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

Rok Tomasza Manna

Rok bieżący obchodzony jest w NRD jako „Rok Tomasza Manna”. W związku z tym wydawnictwo „Aufbau” przygotowuje 12-tomową krytyczną edycję dzieł wielkiego pisarza i dwumowę wydanie jego listów. Ze swej strony Akademia Sztuki NRD zamierza wydać obszerną publikację pt. „Archiwum powieści „Buddenbrokowie” — Dokumenty ze zbiorów rodziny Mannów”.

zdarzenia tygodnia

W czwartek, tj. 3 bm. w Zakładowym Domu Kultury WSK w Rzeszowie otwarto wystawę malarstwa, grafiki i rzeźby rzeszowskich artystów, członków Okręgu ZPAP. 21 autorów wystawiło 26 prac malarskich, 9 grafik i 5 rzeźb (dotychczas rzeszowscy artyści mało zajmowali się rzeźbą, a przynajmniej swoich prac z tego zakresu nie wystawiali).

Wystawa została zorganizowana przez Zarząd Okręgu ZPAP i Biuro Wystaw Artystycznych z okazji zbliżających się „Dni Rzeszowa”.

Wydział Kultury Prezydium WRN przyznał 22 miejscowościom w naszym województwie dotację w wysokości 3,3 — 5 tys. złotych na zakup telewizorów, w sumie na dofinansowanie społecznej akcji zakupu telewizorów dla wsi przeznaczono 99 tys. zł.

W Lublinie odbył się międzywojewódzki zjazd pisarzy ludowych, na którym woj. rzeszowski reprezentowali Walenty Kunysz z pow. jańcuckiego i Stanisław Harla z pow. mieleckiego.

W wyniku wielokrotnie podejmowanych już prób i dyskusji na zjeździe powołano do życia Klub Pisarzy Ludowych. Zadaniem tego klubu będzie popularyzacja współczesnej twórczości pisarzy ludowych poprzez publikację i organizowanie spotkań.

Państwowa Orkiestra Symfoniczna zorganizowała w Rzeszowie, Kolbuszowej, Nowej Dębie i Łańcucie koncerty rozrywkowe pt. „Uśmiech wiosny”. Orkiestrą dyrygował Tadeusz Chachaj. Po raz trzeci w województwie rzeszowskim wystąpił solista Tadeusz Woźniakowski i Lucja Prus, Konferansjerkę prowadzi A. Jaksztas.

Dużym powodzeniem przemysłowej publiczności cieszyły się występy zespołu warszawskiej Opery Objazdowej.

W sali Domu Kultury warszawscy artyści przedstawili przemysłom „Aleko” S. Rachmaninowa, „Verbum nobilitate” S. Moniuszki i „Tosca” G. Pucciniego.

2 i 3 czerwca w katowickim Pałacu Młodzieży wystąpiły zespoły Międzyśląskiego Ośrodka Prac Pozalekcyjnych z Rzeszowa. Były to zespoły taneczne, wokalne, orkiestralny, rytmiczne, recytatorski oraz solista.

W jesiennym natomiast Rzeszów odwiedzą zespoły z Katowic.

Książki Marii Dąbrowskiej w świecie

Książki Marii Dąbrowskiej tłumaczone były w ciągu minionego 20-lecia na wiele języków.

Najznakomitsze dzieło polskiej pisarki „Noce i dnie” poznali czytelnicy bułgarscy, chińscy, czescy, niemieccy, którzy otrzymali kilka wydań tej epopei; czytali je Słowacy i Węgrzy; wydane zostało w Belgradzie, a obecnie wychodzi w Rumunii.

„Ludzie stamtąd” — opowiadanie o wiejskim proletariacie — tłumaczone było na języki duński i włoski.

Tom „Gwiazda zaranna” wydali Słowacy, a jedno z najpiękniejszych opowiadań tego tomu „Na wsi wesele” ukazało się w przekładzie czeskim i rosyjskim.

Opowiadania „Znaki życia” miały dwa wydania w języku serbskim.

Wybory utworów Marii Dąbrowskiej ukazały się w ciągu tych lat po bułgarsku, niemiecku, rosyjsku, rumuńsku i węgiersku. W Czechosłowacji wyszedł wybór pism dla dzieci.

Utwory Marii Dąbrowskiej włącznie były do wielu antologii polskiej prozy, wydawanych w Albanii, Anglii, Bułgarii, Holandii, Izraelu, Węgry do wyboru prozy polskich pisarzy w języku chorwackim, czeskim, gruzińskim, litewskim, norweskim, ich przekłady znalazły się w kilku antologiach niemieckich, rosyjskich, węgierskich. (Kt-PAP).

Anna Magnani o sytuacji w filmie włoskim

„Dziennik „Paese Sera” opublikował wywiad z Anną Magnani na temat przyczyn kryzysu włoskiej kinematografii. Aktorka stwierdziła m. in.: „Przyczyną kryzysu widzę w chciwości pewnych producentów i reżyserów, którzy w dążeniu do wielkich zysków deprawują smak widza, realizując filmy będące targowiskiem głupoty oraz rewią kobiecych bioder i biustów. Lepszy jest cyrk z tresowanymi koźmi — to bardziej szlachetne widowisko, gdyż zachowała się w nim odrobina poezji...”

Rozmowa zesłała na nieograniczone możliwości współczesnej techniki, na perspektywę, jakie stwarza świat cybernetyki.

— Mądre maszyny. Genialne. Ustanowią na ziemi porządek i dobrobyt — pomrukiwał tysią facet, smakujący ostatnie kropelki alkoholu, osiadłe na dnie szklanki.

— Przeklete maszyny — wtrącił wysoki dryblas. Niech je szlag trafi...

— Musiał ci mocno zepsuć humor, Rob — odezwał się trzeci rozmówca.

— Gorzej... — Rob Day smętnie pociągnął ze szklanki. Jest w naszym kraju firma, która reklamuje elektroniczne maszyny dla... „indywidualnych potrzeb człowieka”. Otwierasz gazetę i czytasz: „Bracia Croucks i grupa znanych inżynierów proponuje wam swoje usługi. Sformułujcie swoje życzenia, a my opracujemy według nich móżg elektroniczny zdolny wypełnić każdą lukę w waszym życiu. Pamiętajcie — najtańsi, najpewniejsi, najsolidniejsi to Bracia Croucks et Company!”

Postanowiłem zwrócić się do braci Croucks. Moje życzenia były zupełnie proste: „Chcę mieć maszynę, która radziłaby mi w sprawach finansowych. Chcę się wzbogacić”.

W miesiąc później do drzwi mego mieszkania zadzwoniło dwóch facetów i wniosło coś w rodzaju pianina. Ustawili to i powiedzieli, że w maszynie oprócz schematów analitycznych umontowano cztery radiodiodniaki i jeden telewizor. Aparaty będą przez całą dobę słuchać audycji. Musi pan codziennie wkładać w tę podłużną szczelinę pod klawiaturę co najmniej 3 świeże gazety. Porad finansowych maszyna będzie udzielać w wyniku starannej analizy wszystkich informacji o ekonomicznej i politycznej sytuacji w kraju.

— A jak będzie z operacjami finansowymi? — spytałem.

— W ciągu tygodnia maszyna będzie zastanawiała się i analizowała. Później może pan przystąpić do roboty. Na klawiaturze z liczbami jest pięć rejestrów. Najwyższy odpowiada setkom tysięcy dolarów, następny — dziesiątkom tysięcy i tak dalej. Przepuścimy, że chce pan zaangażować 5 tysięcy. Wybiera pan tę liczbę na klawiaturze i naciska no-

gą pedał. Z boczego otworu wypelnie taśma z wydrukowaną radą, co i jak należy zrobić z podaną sumą pieniędzy, aby otrzymać maksymalny zysk. To wszystko.

— Jeszcze nie wszystko — powiedziałem. — Ile ta maszyna kosztuje.

— 10 tysięcy dolarów, ale pieniądze bierzemy dopiero wtedy, kiedy pan przekona się, że maszyna pracuje ku pańskiemu zadowoleniu. Ten znak „ED-1” oznacza „Elektronowy Doradca 1”.

Elektronowy doradca

Ustawili maszynę, wetknęli wtyczkę do kontaktu i poszli. Z niecierpliwością oczekiwałem końca tygodnia. Wreszcie nadszedł ów dzień. Długo zastanawiałem się, jaką wybrać liczbę. Nie jestem głupcem, by od razu wpakować całą forszę w tę imprezę. Miałem jej zresztą niewiele. Zaryzykowałem 150 dolarów. Zanim zdolałem ochłonąć z wrażenia, z maszyny wypetlała taśma z takim oto napisem: „Pójdiesz na Dworzec Centralny i położysz się na szynach przed nadejściem pociągu do Chicago”. Przyznaję, że długo się wahałem, zanim poszedłem. Położyłem się jednak na torach. Pociąg dawał rozpaczliwe sygnały, a ja leżałem jak mumia. Podbiegł policjant i pokrzykując na mnie zaczął mnie ścigać z torów. A ja nic, tylko opierałem się. Maszynista zszedł z lokomotywy i zaczął krzyczeć, żeby mnie przedzej wyrzucano, bo pociąg spóźnił się już przede mną — nazwał mnie idiotą — o całe 5 minut. Siłą wciągnął mnie na peron, a stamtąd do kolejowego posterunku policji. Tu wlepiono mi mandat wysokości 150 dolarów. —

Nieżył to model ten „ED-1” — pomyslałem.....

Gdy wyszedłem z komisariatu, oczekujący tłum ludzi porwał mnie na ręce. „To on! — krzyczą — to on...”

— Co takiego zrobiliem, za co taka owacja? — próbowałem przekrzywić wiatrujący tłum.

Wreszcie ktoś mi powiedział, że zatrzymałem pociąg do Chicago, a zaraz za dworcem tor rozebrany.

Wtedy ja: „Panie i panowie! Owacje to rzecz dobra i przyjemna,

lę rzuciłem wszystko, co posiadałem. Nacisnąłem pedał...”

Taśma długo nie pokazywała się. Wreszcie pokazał się koniuszek i natychmiast zniknął w głębi otworu. Coś w maszynie zaczęło trzeszczeć i skrzypieć, a kiedy zacząłem już tracić cierpliwość, wypetlała taśma, na której odczytałem zalecenie, którego nigdy nie zapomniałem: „Spal w piecu wszystkie pieniądze, jakie posiadasz...”

Usłuchać czy nie usłuchać rady?... Wierzyłem jednak swej maszynie. Zebrałem posiadaną gotówkę w banknotach i wrzuciłem do pieca. Co też teraz stanie się?...

Mijała godzina za godziną i ja wpatrzony w maszynę traciłem cierpliwość. Zdenerwowany podbiegłem do maszyny krzyżując, uderzyłem ręką w jej pudło. Straciwszy zupełnie głowę, ponownie nacisnąłem klawiaturę, wybierając tę samą sumę, której przecież już nie posiadałem.

Gdy nacisnąłem pedał — z otworu wypetlała taśma z samymi zerami. Ani jednego słowa. To doprowadziło mnie do szału. Chwyciłem żelazny pogrzebac i z całych sił zacząłem walić po maszynie. Poleciały drzazgi.

Z wściekłości zacząłem tarzać się po podłodze. Wyłem i płakałem na przemian. W pewnym momencie rzuciłem okiem na złom, który pozostał po maszynie, i zauważyłem kawałek taśmy z jakimś literami. Z piekielnym biciem serca przeczytałem: „Sprzedaj mnie, dołóż pieniądze do posiadanych i kup u „Braci Croucks et Company” udoskonaloną maszynę „ED model 2”...”

Okłamała mnie ta cholerna maszyna, a wy mówicie, że one ustanowią na ziemi porządek, że dzięki nim zakwitnie interes, zginie chaos....

— Proszę — odezwał się łysy facet o twardy zarostek rzyg szczytną — oto wiek, w którym żyjemy. Nawet elektronicznym maszynom nie można wierzyć...

Rob Day spojrzął na niego i w milczeniu wyszedł z baru.

Według humoreski ANATOLA DNEPRAWA przełożył i opracował J. Ł.